

40055

II/678

SKIERNIE

WICE

KONKURS - WSPOMNIENIA LUDZI - OFIAR STALINIZMU

Moje wspomnienia-dziesięcioletniego wówczas chłopca

Przez 49 lat publicznie nie próbowałem nawet wyjawiać swoich przeżyć z lat wojny, z wiadomych powodów. Dopiero teraz mogę to zrobić. Przez wszystkie te lata pisałem w zyciorysie, że w 1940r. e w a k u o w a n o mnie do ZSRR - nie pisałem, nie mogłem pisać, że byłem deportowany, wywieziony brutalnie i porzucony w tajdze archangielskiej na wieczne chyba czasy. Los okazał się łaskawszy. Dane było mi przetrwać i wrócić choć drogą okrężną, daleką i jakże trudną.

Gdy w 1947 roku wyjeżdżałem z Palestyny do Egiptu, skąd miałem popłynąć okrętem do Włoch, a stamtąd pociągiem dotrzeć aż do Polski - trzeba było zniszczyć listy, niektóre dokumenty i zdjęcia - wracaliśmy bowiem /świadomi/ do kraju, w którym nie było wolności osobistej, w którym na los człowieka mogła zaścudniczo wpłynąć niezawiniona /i nie wybierana/ przeszłość, pochodzenie, zawód itp.

Wyjeżdżając nie wiedzieliśmy jaka czeka nas przyszłość w Polsce - Ojczyźnie tak upragnionej w nostalgicznych marzeniach i snach. Z kolegami i znajomymi urwała się nić, nie tylko nie utrzymywaliśmy korespondencji, ale trzeba było o nich zapomnieć by przypadkiem Im i sobie nie zaszkodzić. Praktycznie kontakty ze światem zostały zerwane, wracaliśmy bowiem do Kraju za tzw. Żelazną kurtyną.

Mimo to wróciłem i 29 czerwca 1947 roku znalazłem się w Dźdźdźicach, w u p r a g n i o n e j Polsce.

Byłem w mundurze armii angielskiej i już w dniu powrotu dało się odczuć duże zainteresowanie i przychylny stosunek naszych rodaków jak i niechęć przedstawicieli władzy do munduru i oznak Armii Polskiej na zachodzie.

Jakże jestem szczęśliwy, że dziś czasy zmieniły się, że Polska staje się Polską, że czuć powiew wolności, że prostuje się wypaczoną historię, że stopniowo ujawnia i usiłuje wyjaśnić t.zw. białe plamy.

Jakże jestem wdzięczny Panu Bogu, że pozwolił mi dożyć tych czasów, jakże ubolewam, że moi bliscy puszczaali ten świat w mroku stalinizmu bez iskiereki nadziei na lepsze jutro.

Myszę o Nich nieustannie. Niech Dobry Bóg wspomóż Ich Dusze swą jasnością i zaleci w dlić się za nasz Kraj i pomyślność Dziecia, które się tu właśnie rozpoczęło. Wierzę w sukces wsparty modlitwą D U S Z , które opuściły swe ciała w miejscach kaźni i zbrodni i we wszystkich punktach świata w tułaczce do W O L N E J POLSKI

Mnie udało się wrócić. Pragnę by wspomnienia, które piszę przekazać tak jak je zapamiętałem, jak zapadły we mnie gdy miałem 10 - 12 lat. Jakże one są żywe mimo upływu niemal półwiecza od tamtych krutnych dni.

Urodziłem się w marcu 1930r. w Stołpcach, w Polsce, nie w ZSRR jak to wpisano w moim dowodzie osobistym. Mama nie pracowała, Ojciec był kucharzem. Gdy wybuchła wojna rodzice mieszkali osobno. Ojciec zagospodarowywał nowo nabytą nieruchomość w Porzeczu i tam pracował my z Mamą t. zn. mają starszą ode mnie matkę o dwa lata siostra i ja mieszkaliśmy jeszcze w Stołpcach.

Gdy rozpoczęły się naloty, wojenne niedogodności i niebezpieczeństwa. Mama chcąc ulżyć sobie i nam zabrała nas i pojechała na wieś do Kuchezyc/gm. Kleck pow. baranowski, do swoich braci.

W Kuchezycach gospodarzyli dwaj moi wujkowie Wacław i Henryk - obaj kawalerowie. Nie byli właścicielami tego gospodarstwa, uprawiali je w imieniu swego brata Zygmunta, który otrzymał ziemię jako były legionista. Osadnikiem był Zygmunt, który jednak mieszkał i pracował w Nieświeżu.

Nie długo cieszyliśmy się wiejskim powietrzem i chlebem. 17 września 1939r. ziemię naszą opanowała krasnaja armia. Zaczęły się niepokoje, grabieże a nawet samosady białorusinów.

W lutym 1940r. przyjechali do moich Wujków z odległej wsi Hincewicze saniani, na "naradę rodzinną" małżonkowie siostry Mamy, Sabiny - Władysław i żona jeszcze jednego brata Mamy Waleriusza - Maria. ~~Wujek Wacław i Henryk~~ ~~Wujek Wacław i Henryk~~ ~~Wujek Wacław i Henryk~~ ~~Wujek Wacław i Henryk~~.

Jak na złość w tym czasie z 9 na 10 lutego 1940r. w środku nocy zrobił się wielki hałas i ruch. Do drzwi i okien walono kolbami karabinów wołając "adkrywaj dźwiery". Do izby wtargnęli "ruskije bajcy" ze szpikulcami na czapach i NKWD. Mężczyzn ustawiono twarzami do ściany, nas dzieci posadzono w kącie a kobietom kazano pakować się wyznaczając *dwie* godziny czasu. "sobierajcieś z wieszczami". Gdy Mama, płacząc spytała dokąd pojedziemy i co należy zabrać dowiedzieliśmy się w odpowiedzi, że tam gdzie pojedziemy "walo jeść" trzeba tylko wziąć piłę i siekierę.

Gości naszych z Hincewicz po wylegitymowaniu zwolniono i kazano im wracać do domu. Nas z Mamą i Wujkami wsadzono na sanie zaprzęgnięte w konie z gospodarstwa Wujków i powieziono w konwoju szeregu innych sanii na stację kolejową gdzie czekały już na nas bydłace wagony.

Ani Wujkowie, ani Mama ani tym bardziej my nie byliśmy zapewne na liście skazańców bo i niby za cò?

Na gospodarstwie nie zastano właściciela, który był oficerem rezerwy ani jego żony i córki. Zabrano więc tych, których tam zastano, a że liczba osób nie pokrywała się to i cò? Nadwyżki zawsze są pożądane tym bardziej, że długa droga zapowiadała ofiary a z brańców być może trzeba było się rozliczyć?

Załadowano nas gęsto do towarowych wagonów z dwu poziomowym układem prycz, głośno zasunięto i zaryglowano drzwi, pod sufitem znajdowało się małe kratowane okienko. Po dłuższym czasie mocne szarpnięcie, pociąg ruszył i nabierał rozpędu - jechaliśmy w nieznane jak było przeznaczone na rzeź. Podróż była długa i okrutna. Maszyniści źle wyuczeni bądź wyzuci z uczuć ludzkich przy ruszaniu i hamowaniu pociągu szarpali niemiłosiernie, wagony z łoskotem tłukły się buforami, rozrywały i znowu uderzały o siebie. Oj jakże dobrze pamiętam tę podróż. Jechaliśmy tak około miesiąca. Od czasu do czasu na postojach odsuwano drzwi i pozwalano 2 osobom z wagonu w obecności konwojujących "krasno-armistów" iść na stację po gorącą wodę / "kipiatok". Czasem też przynoszono niewielkie ilości chleba. Od czasu do czasu konwojujący nas żołnierze zezwalali wysiąść pod wagony dla załatwienia potrzeb fizjologicznych. Wszyscy transportowani "brańcy" znajdowali się naraz pod wagonami z wypiętymi tyłkami, było to i krępujące i upakarzające ale konieczne. Przy takich ogólnych "wysiadkach" jednej pani z naszego wagonu udało się uciec jeszcze na terytorium Polski.

W wagonach było bardzo zimno, głodno, brudno. Już tu zaczęły się wszy. Pośrodku wagonu w podłodze znajdował się otwór obramowany deseczkami, przeznaczony do załatwiania się podczas biegu pociągu i na postojach o ile nie pozwalano wyjść z wagonów. Nie można było jednak z niego korzystać gdyż zamarzą już po przejechaniu pierwszych kilkudziesięciu kilometrów. Odbijanie łódz nie wiele pomagało.

Nieopodal tego otworu stał blaszany piecyk, nie było jednak czym palić. Spalano więc stopniowo to wszystko co w wagonie było dostępne i nadawało się do spalania łącznie z wyrwanymi deskami z prycz, nie przypominam sobie jednak ciepła, pamiętam tylko jak było mi zimno.

Wiele osób nie przetrzymało tej podróży, umarłych pozostawiano przytorach. Pociąg uparcie parł na wschód.

Nareszcie dojechaliśmy do wyznaczonego punktu. Z wagonów przesadzono nas na sanie i powieziono w głąb lasu. Jechaliśmy pewnie ze trzy dni, aż wreszcie ujrzeliśmy polanę z barakami zbudowanymi z okrągłaków przetykanych mchem. To było miejsce naszego zesłania: "posiłek KUBAŁO, Ustiański Rejon, A R C H A N G I E L S K A J A Obłásć".

Rozmieszczono nas w barakach na pryzkach trzy poziomowych. Dwa i młi Wujkowie, Mama, Siostra i ja zajmowaliśmy nie więcej jak 16m² powierzchni. W posiołku znajdowały się:

- "stołowaja", w której głównie gotowano lurowatą zupę z "wołnuch" /grzybów /podobnych do naszych olszówek/, czasami bywała śmierdząca zupa "rybna", - małeńki uklepek/przeważnie nie czynny z braku towaru/, można było tam dostać przydzielany chleb, pamiętam, że raz ukazała się kiszonka z zielonych pomidorów jakże pożądana i rozchwytywana /z braku jakichkolwiek witamin/przez zesłańców,

"bania" /łaźnia parowa/gdzie kąpali się jednocześnie kobiety, mężczyźni i dzieci,

- "płoszczadka" /podłoga do tańców/- "kanieczno" bo i jakże w Kraju Rad ludzie żyją radośnie i wesoło. Pojawiał się tam w "prazdniki" "ruskiej harmonista,

- budynek komendantury,

- barak przeznaczony na szkołę/gdzie uczono kochać "jasne Słońce" STALINA /

- kilka baraków mieszkalnych, w jednym z nich wydzielona była izba na ambulatorium /felczerem była bardzo młoda rosjanka/

Dookoła las dziki. Strażnicy nie były potrzebne. Stąd nikt nie mógł uciec.

Zaczęła się wegetacja. Na pryzkach gniewdzili się w barłogach ludzie. Głód dawał się odczuwać coraz mocniej. Aby tłumić uczucie głodu nauczony przez inne dzieci zacząłem jako 10 letni chłopiec wydłubywać mech ze ścian baraków, zawijać go w papier gazetowy i palić. Trochę to pomagało. W posiołku szerzyły się choroby, śmiertelność była znaczna. Powszechną chorobą, którą przechodzili prawie wszyscy była t.zw. kurza ślepotka.

Bród, wszy, pluskwy, karaluchy /piywające nieraz w zupie "zamiast skwarek" / - dokuczały okropnie. Szczury w izbach barakowych czuły się pewniej niż my. Jeszcze dziś kąpią mnie dreszcze gdy o tym piszę.

Dorośli pracowali przy wyrębie i karczowaniu lasu a latem również przy spławie pni zwalonych drzew.

Pracującym przydzielano dziennie ~~po~~ po 500 gram gliniastego, czarnego chleba, dzieciom przysługiwało około 200 gram. Pamiętam dobrze powtarzające się często powiedzenie "kto nie robotajet nie kuszajet". Dziś jeszcze widzę wyraźnie najbardziej wyniszczone jednostki ludzkie zbierające niedopałki papierosów czy wylizujące na stołówce miski z resztkami jedzenia pozostawionymi przez konsumujących rosjan-funkcyjnych w naszym posiołku.

Dzieci obowiązane były uczyć się w "szkole" posiołkowej. Pamiętam doskonale tę szkołę.

Pamiętam jak udawano nam, że nie ma Boga: nauczyciel po odpowiedniej "obróbcę" naszych umysłów mówił, a teraz chórem wołajcie "Boh, boh daj pieroh" - oczywiście z nieba nic nie spadało - "tak widzicie Boga niet", a teraz powtarzajcie "sawiet, sawiet daj kanfiet" i oczywiście każde dziecko otrzymywało coś co podobne było do cukierka.

W ten to sposób uczono nas wiary we władzę radziecką, jej wszechmoc i potęgę.

Nie chciałem uczyć się w tej szkole. Mimo moich zaledwie 10 lat miałem wyrobione silne uczucie patriotyzmu. W takim kręgu roszem.

Próbowałem nieraz demonstrować swoje uczucia. Raz przypadkiem stłukłem w klasie globus. Odprawiono nademną istną rozprawę, potępiono mnie, wyszydono. Następnego dnia można było przeczytać na korytarzu szkoły przenośną i ostrzeżenie... "styd i pazor Jurewiczu Gieorhomu". Oj jakże było mi smutno i źle. Ale późniejsze wpływy środowiska w postaci stalinowskich zespołów "sądzących i oddziaływujących" znosiłem już bardziej wattersko i odpornie.

W późniejszym czasie kiedy zachorowałem i leżałem z wysoką gorączką, głodny i zaniedbany i przez to nie mogłem uczestniczyć w przedstawieniu przygotowywanym przez szkołę - przyszedł do mnie odwiedzić/a może sprawdzić czy nie symuluje?/mój nauczyciel. Posiedział trochę przy mojej pryczy, a przed odejściem zostawił mi kromeczkę pszennego chleba. Jakież był to rarytas w owym miejscu i czasie.

Pracowali dorośli mężczyźni i kobiety niezależnie od pogody, pracowaliśmy dorywczo również my - dzieci. Stawialiśmy w lesie t.zw. sążnie /cieliśmy i odpowiednio układali pnie drzew/. Pracę wykonywaliśmy oczywiście "społecznie". Syberyjski ^{Mróz} mroz nam nie przeszkadzał.

Czas płynął, ludzie umierali/narodzin nie pamiętam/, pamiętam tylko trumny zbijane z desek i te całkiem małe i te wielkie.

Moja Mama chorowała, zabrano ją furmanką do szpitala, wróciła po paru tygodniach słaba i blada, ale wróciła - jeszcze żywa.

Zdarzały się przypadki, że niektórych mężczyzn gdzieś zabierano i nigdy już nie wracali.

Mijające dni podobne były do siebie, tylko pogoda i pory roku zmieniały się. Raz jeden przez te niemal dwa lata na niebie pojawił się samolot. Było to wydarzenie niecodzienne wywołujące wielkie poruszenie w posiołku. Wydawało się nam że idzie jakiś ratunek, że coś się zmieni.

Samolot zrzucił ulotki. Goniliśmy bez tchu żeby dowiedzieć się co zawierają. Okazało się że w pewnej odległości od nas pali się tajga - ulotki wzywały do zorganizowanej akcji p.o.z..

Upłynęło wiele miesięcy zanim nawiązano korespondencję z Krajem. Ojciec mój, który pozostał w Polsce i pracował jako maszynista kolejowy starał się u władz sowieckich o nasz powrót. Wskazywał na bezpodstawność wywiezienia nas. Mieliliśmy nadzieję. Załatwianie tych spraw przeciągało

się. Pewnego razu wezwano Mamę do obozowego NKWD. Tam przeprowadzono z nią rozmowę, pytano czy chciała by wrócić do Polski itp. Na zakończenie rozmowy podsunęto jej do podpisania protokołu. Mama nie czytając podpisała się. Po upływie długich tygodni otrzymaliśmy wiadomość od Ojca, z której wynikało, że nie chcemy wracać do Polski. Pokazano mu dokument podpisany przez Mamę, z którego wynikało, że odmawia powrotu. Klamka zapadła. Wola władzy radzieckiej wzięła górę.

Wciąż jeszcze cała nasza piątka żyła. Mama dorabiała "wróżąc" przychodzącym do posiołku kołchoźniczkom/co nie często zdarzało się/i wymianą rzeczy przywiezionych z Polski na dostępne produkty żywnościowe. Czasami nadchodziła jakaś paczka z Kraju - trwaliśmy w beznadziei.

I oto pewnego dnia dotarła do nas wiadomość o amnestii - "amnestii"? Przeniesiono nas na odległą o kilkanaście kilometrów bazę zwaną chyba KWASNIŁGA. Tam Wujek Wacek pracował jako brygadzysta wozaków. Drugi Wujek - Henryk niedomagał - leżał na pryczy, majaczył. Nagle jakby świat się zawalił. Rumor, ciemność i cisza. Byłem niedaleko pryczy Wujka. Gdy zaczęło się przejaśniać, kurz opadał powoli - okazało się, że komin zawalił się, przebijając sufit baraku zwał się choremu na nogi. Musiał być stawiany w pędzie podczas dużych mrozów. Nowe jakże okrutne nieszczęście.

Po upływie pewnego czasu, gdy zaczęto organizować Wojsko Generała Andersa - uzyskaliśmy zezwolenie i wyruszyliśmy w poszukiwaniu zbawczej Armii na północ ZBR. Jechaliśmy w okropnych warunkach z chorym Wujkiem. Podróż była długa i daleka. Dotarliśmy jakoś do Czelabińska.

Wiedzieliśmy już, że jest tu na placówce w randze kapitana Wojska Polskiego nasz Wuj ~~ZYGMUNT~~ Zygmunt-osadnik, z którego gospodarstwa nas wywieziono. W 1939r. został aresztowany przez NKWD w Nieświeżu i więziony w Rosji bodajże w Kozielsku.

W Czelabińsku dzięki pomocy Wujka Zygmunia zabrano do szpitala chorego Wujka Henryka, który cierpiąc aż do tej pory musiał być i jechać z nami. Zabrano Go z wagonu jak okazało się na zawsze. Pozostał już w tej dalekiej, obcej i wrogiej wówczas ziemi. Nie znamy Jego mogiły. Nie wrócił, nie zobaczył już więcej utęsknionej Polski.

Pojechaliśmy dalej. Pamiętam Taszkient. Widziałem tam ciężarówki załadowane bezładnie, po brzegi ciałami ludzkimi. Zdawało mi się, że niektóre jeszcze poruszały się. Tego widoku nie zapomnę na moment do śmierci. Dziś wiem, że panowała tam epidemia chyba tyfusu. Pamiętam wynędzniałych i groźnych ludzi w tym wielkim mieście. Widziałem jak jakiś oberwaniec wyrwał siłą idącemu ulicą z ręki kawałek chleba. Słyszałem o nieustannych kradzieżach i przypadkach zabójstw. Gdy siostra moja Teresa i ja dzięki staraniom starszych mogliśmy coś zjeść, musieliśmy to robić ukradkiem jak szczocyńcy, dla własnego bezpieczeństwa.

Wreszcie w miejscowości Szachryziads w Uzbekistanie zatrzymaliśmy się. Tu m.in. organizowano Armię Generała Andersa. Do wojska wstąpił Wujek Wacek nasz kochany opiekun. Mnie przyjęto do junaków chociaż do ukończenia wymaganych 12 lat brakowało mi jeszcze kilkunastu dni.

Pamiętam jak dezynfekowano naszą odzież w obozie, pamiętam czas regulaminowy przeznaczony na bicie wszy i ten "Obrządek", pamiętam kuchnię polową i tłumy cywili przy bramie obozowej, których wojsko /choć jeszcze nie umundurowane/ starało się dożywić. Pamiętam jak porcją, którą otrzymywałem dzieliłem się z Mamą i Siostrą bo przychodziły pod bramę razem z innymi. Cywilom było szczególnie trudno.

W marcu 1942r. wyjechałem z wojskiem do Persji. /Pahlevi, potem Teheran, W Pahlevi nocowaliśmy w pierwszą noc pod gołym niebem na piachu tuż nad brzegiem morza Kaspijskiego. W Teheranie skoszarowani byliśmy w hangarach. Jakiś czas tam pozostawaliśmy.

Po upływie wielu tygodni przyszły do mnie, do naszego miejsca postoju Mama i Siostra Teresa. Udało im się wydostać z ZSRR z grupą osób cywilnych wyjeżdżających jako rodziny wojskowych wcześniej wycofanych z tego "raju". Obóz cywilny w Teheranie był niezbyt odległy od naszego miejsca pobytu, widywaliśmy się więc czasami. Nie trwało to długo. Wyjechałem nagle transportem wojskowym poprzez strome i niebezpieczne wysokie góry do Iraku, a stamtąd po pewnym czasie do Palestyny.

W Palestynie pisane mi było zostać w szkołach junackich aż przez 5 lat. Najpierw przebywałem i uczyłem się w Junackiej Szkole Powszechnej w Nazarecie i obozie "Barbara" w ciągu jednego roku szkolnego przerabiać musiałem dwie klasy, a to z powodu straconego czasu w związku z pozostawaniem na zesłaniu/, potem na rok skierowano mnie do Junackiej Szkoły Mechanicznej w Tel-El-Ke-Bir w Egipcie, następnie wróciłem znów do Palestyny i pozostawałem w Junackim Gimnazjum Kupieckim w Nazarecie.

Do 1947 roku tj. do roku powrotu do Polski ukończyłem dwie klasy tegoż Gimnazjum.

Wujka Wacka spotkałem w Nazarecie gdy byłem jeszcze w pierwszych klasach szkoły powszechnej. Przyjechał specjalnie do mnie z Iraku, gdzie stacjonował Jego oddział. Potem ze względu na stan zdrowia zwolniony został z wojska i zamieszkiwał w Jerozolimie.

Mama i Siostra pozostały w Teheranie. W 1943 roku moja Mama umarła. Nie wytrzymał Jej organizm przebytych trudów. Pochowano Ją na cmentarzu polskim w Teheranie. O śmierci Jej dowiedziałem się z wielkim opóźnieniem. Przebywałem wtedy już w Nazarecie. Do dnia dzisiejszego nie mogłem sobie pozwolić aby pojechać choć raz na Grób Matki. Nigdy już chyba nie uda mi się tam pojechać. W przyszłym roku ukończę 60 rok życia. Od ubiegłego roku jestem rencistą. W PRL przepracowałem wg moich możliwości wydajnie i uczciwie 38 lat ale nawet przez tak długi okres nie zdołałem ^{zachęcić} ~~zaproponować~~ choćby na wyjazd do Persji. Smutne to ale niestety prawdziwe.

Siostra po śmierci Mamy wstąpiła do szkoły młodszych ochotniczek /pozostającej pod opieką wojska/ i również dotarła do Nazaretu. Czasami mogliśmy się widywać.

Wujek Zygmunt pozostawał w wojsku w Egipcie w Ismaili gdzie dotarł również poprzez Iran i Irak.

Wszyscy ze sobą kontaktowaliśmy się. Gdy wojna skończyła się jednomyślnie postanowiliśmy wrócić do Kraju.

Dwudziestego dziewiątego czerwca 1947 roku ^{już} ~~byłem~~ ^{już} w Polsce.

Przyjął mnie PUR w Dziedzicach.

Jeszcze przed powrotem nawiązaliśmy kontakt z Ojcem /przez Czerwony Krzyż/, który przebywał już na Ziemiach Odzyskanych w Swidwinie koło Koszalina. Pojechalismy do Niego.

Zamieszkałem w Koszalinie i tam ukończyłem 3 i 4 klasę Gimnazjum Handlowego uzyskując t. zw. małą maturę.

Potym zaczęły się nowe tarapaty. W Gnieźnie ukończyłem 1-szą klasę Liceum Handlowego, a w Zabrzę/już jako osoba pracująca ~~XXXXXXXX~~ w Narodowym Banku Polskim/drugą klasę takiegoż Liceum gdzie też uzyskałem dużą maturę.

W 1958r. zmarł mój Ojciec. W tym samym roku zmarł nasz opiekun na wygnaniu wziętek Wacek. Po powrocie do Polski zamieszkiwał u swego brata Waleriusza, który przed wojną mieszkał w Nowogródku, a po naszym powrocie w Warszawie.

Wujek Zygmunt odnalazł żonę Zofię i córkę Irenę, które pozostawały w Polsce i osiedlił się w Piasecznie k/W-wy. Inny brat mamy - Czesław po ewakuacji w 1945r. z ziem wschodnich/Baranowicze/zamieszkiwał po wojnie w Inowrocławiu. *Wszystcy jmi mieszkały mi żyją.*

Siostra Mamy - Sabina wraz z mężem Władysławem, który był w Kuchezycach w momencie naszego ~~ix~~ deportowania, również w 1945r. opuściła swejże duże, piękne gospodarstwo w Hincewiczach w powiecie baranowickim i w drodze ewakuacji przyjechała do centralnej Polski, otrzymując jakieś ponemieckie gospodarstwo we wsi Równa gm. Kłodzko w pow. gnieźnieńskim. Gospodarstwo ponemieckie przydzielono im do prowadzenia bez prawa własności tj. bez możliwości wydzierżawienia czy sprzedaży. Po śmierci męża Władysława nie była zdolna obrobić tej gospodarki/małżeństwo bezdzietne/i musiała je oddać Państwu bez żadnego odszkodowania - starość spędzała w nędzy. Umarła/nie przeczuwając nawet, że sytuacja może się kiedy zmienić/jako podopieczna Komitetu Opieki Społecznej,

W 1952 r. powołano mnie do Ludowego Wojska Polskiego - do pięciu lat służby prowadzonej przez wojsko w Palestynie musiałem doliczyć jeszcze dwa lata służby.

Moja przeszłość nie była atrakcyjna i mogła wówczas budzić nieufność do mojej osoby. Z tego też powodu zakwalifikowano mnie przez oficera informacyjnego jednostki/jako element niepewny/do oddziałów roboczych. Nie skierowano mnie tam wyłącznie dzięki intensywnym staraniom i pomocy moich bezpośrednich dowódców.

Potym długie lata pracy zawodowej najpierw w bankowości a po niej w przemyśle lekkim. Dziś już jestem na rencie. Przemija życie, wygasa, życie złamane, pozbawiane radości dzieciństwa i lat młodości, życie tknięte przez los, który pozostawił swe piętno na zawsze.

Jednak dożyłem dzisiejszych czasów, cieszę się, że przed mymi dziećmi i wnukami otwiera się prawdziwa istniejąca szansa lepszego, godniejszego życia. Oby Bóg dał w pokoju.

Przemięło wszystko jak zły sen. Dziś po 40 niemal latach pracy otrzymuję rentę ale muszę dorabiać bo nie wystarczyła by na potrzeby bieżące. Nie dorobiłem się pieniędzy, nie zasłużyłem na medale. Nawet do ZBOWiD-u nie mogłem być przyjęty. Jeszcze tylko ^{uważam} nadzieję na jakieś odszkodowanie za nieruchomości pozostawione przez mojego Ojca w Porzeczu, sprawę ^{rozstrzygniętej} ~~zakończoną~~ na Urzędzie Miasta. Pozostają już tylko nadzieja i wspomnienia. Jakże głębokie i wciąż żywe są te wspomnienia niech świadczy fragment wiersza jaki napisałem mojej Siostrze z okazji Jej już 60-tych urodzin:

.....

....Pamiętasz Stołpce i Kresów Ziemie?
to piękne słońce, niebieski Niemen?
a tajgę w Rosji? wszy, karaluchy?
a może lepiej, Irańskie muchy?
"waroni jajsza", lepioszków słodycz?
to była przecież najlepsza zdobycz
po ciężkich latach za Archangielskiem,
a potem byłeś w armii angielskiej...
aż w Nazarecie na Świętej Ziemi
spotkałeś brata... mundur zieleni,
a przecież dzieciak, wychudłe liceum
i ty w mundurze?... młodsza ochotniczka!

Wszystko minęło choć świat się kołysał
przeżyłaś, wiościłaś, Bóg Cię usłyszał.....

x) golozowu jajska - tak określili funkcjonariusze perskiej
Łowicz, wrzesień 1989 rok.

Jerzy Jurewicz
Os. Bohaterów Walk n/Bzurą Bl.4 m.19
99-400 Ł o w i c z